

# Stanisława Stelmach-Serafinowa

---

## Wspomnienia z lat młodości

---

Rocznik Kolbuszowski 4, 143-152

---

2000

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Wspomnienia z lat młodości

**U**rodziłam się w 1919 roku w Weryni, powiat Kolbuszowa. Ojciec mój był gospodarzem na czterohektarowym gospodarstwie. Ponieważ gospodarstwo to było obciążone rodzinnymi splotami, z których ojciec nie mógł się wypłacać, sprzedał je i w 1921 roku wyjechał do województwa poznańskiego, gdzie kupił 25 ha ziemi. Ojciec był pełen sił i zapału do pracy. Wieś naszą Niedźwiady, pow. Żnin, woj. poznańskie (obecnie bydgoskie), zamieszkiwało 75% Niemców. Najbliższym naszym sąsiadem po przeciwnej stronie drogi w odległości ok. 100 m, był Niemiec Heindrich Janke. W odległości 100 m w drugą stronę, było skrzyżowanie z tzw. „Brukiem”, drogą, która dochodziła w pobliskim Rogowie do szosy Poznań - Bydgoszcz.

Przy tym skrzyżowaniu stała piękna niemiecka szkoła, w której uczył niemiecki nauczyciel. Kiedy kończyłam 7 lat, pamiętam jak ojciec powiedział do mamy - „do niemieckiej szkoły dzieci nie poślę”. Napisał prośbę do władz, chodził za podpisami wśród miejscowych Polaków aby pomogli zmienić szkołę na „polską”. Ludzie mieli skrupuły, bali się, że choć już tu jest Polska, to dużo tu jeszcze Niemców, którzy mogą się mścić.

Wszystko poszło pomyślnie, nastąpiło uroczyste otwarcie, bo to pierwsza POLSKA szkoła w powiecie. Przyjechał polski nauczyciel, Stanisław Łubiński. Mieszkając w środku wsi w najbliższym sąsiedztwie szkoły, za-przyjaźniliśmy się z nim.

Niemcy buntowali się i odgrażali. Pamiętam jak ojciec przyjechał z targu z Janowca (Wielkopolskiego) pobity przez Niemców, wśród których był i nasz sąsiad Janke. Interweniowała policja.

Wielu Niemców w okresie międzywojennym wyemigrowało do Niemiec. Nasz sąsiad pozostał. Porobił wysokie bramy, w ogrodzie wybudował ogromną piwnicę, pół w ziemi, pół na wierzchu, z niewidocznym wejściem od podwórza. Przez cały okres międzywojenny, od czasu do czasu, w niedzielę, zjeżdżali się okoliczni Niemcy do naszego sąsiada. Ojciec mówił nam, iż podejrzewa, że tworzą jakąś wrogą nam organizację, a wybudowane piwnice to nic innego, jak arsenał broni. Zgłosił swe podejrzenia policji. Wysłano tam na kontrolę policjanta Nowickiego z Rogowa. Po kilku godzinach wracał p. Nowicki ledwo prowadząc rower, opity winem własnej roboty naszego sąsiada, a ojcu powiedział: „nie zawracaj głowy, tam wszystko jest w porządku”. Tak też kończyły się następne kontrole.

Gdy wzmogły się niepokoje wojenne, wzrósł też ruch wokół naszego sąsiada. Wieczorami zjeżdżali się okoliczni Niemcy na rowerach. Podejrzewaliśmy, że się naradzają lub może ćwiczą przysposobienie wojskowe. Ojciec w napięciu słuchał radia. Mówił: „lada dzień wojna, wojna będzie straszna”. Mówił również: „muszę naprawić rower, będę musiał uciekać, bo choć dwadzieścia lat upłynęło, będą się Niemcy mścić na mnie - za szkołę”.

Duże białe, obwieszczenia z napisem „Powszechna Mobilizacja” przeraziły mnie do głębi, gdyż pamiętałam słowa ojca.

Zbliżał się front. Ojciec uciekł na rowerze. Zostałyśmy same. Mama i nas cztery (nie miałyśmy brata). Wojska niemieckie przeszły „Brukiem”. Ze wszystkich stron zjeżdżali się Niemcy do naszego sąsiada. Wracali uzbrojeni w karabiny, z opaskami z „hackenkreuzem” na rękawach, tak jak to przewidywał ojciec. Witali wojska niemieckie. Płakałyśmy, spoglądając zza firanek.

Wojska poszły dalej, pozostała tzw. V Kolumna. Przyszła do nas grupa bojówkarzy, wszyscy znajomi z naszej wsi, uzbrojeni. „Gdzie jest ojciec?” pytają. Mówimy - „nie wiemy, jak wczoraj wyszedł, dotychczas nie wrócił”. Wypędzili nas karabinami gotowymi do strzału na podwórze, bili, popychali. Przeszukali wszystkie zabudowania. Mówili, że jeżeli powiemy gdzie jest, darują nam życie, a jeżeli go znajdą - rozstrzelają razem z nami. Nie znaleźli. Obstawili dom dookoła, strzelali i w dom, i w okna. Leżałyśmy na podłodze pod oknami, aby uniknąć kul. Leciały na nas potłuczone szyby. Tak było przez kilka dni. W międzyczasie nasz sąsiad Janke ze swoimi ludźmi uprowadził nasz żywy i martwy inwentarz.

Po jakimś czasie zaczęły czekać nasze psy, tak jak by czekały na kogoś „swojego”. Przestraszyło to nas, mógł powrócić ojciec. Wysłałam, a psy zwrócone do tylnej bramy szczekają i przyjaźnie machają ogonami. Podeszłam i w mroku rozpoznałam sylwetkę ojca. Zmęczony, zarośnięty, brudny. Nie mogłyśmy uciszyć radosnego szczekania psów. Nas, osób najbliższych ojcu, jego powrót przestraszył ogromnie. Przecież go zabiją razem z nami! Pozamykałyśmy psy. Ojciec po cichu wszedł na strych. Zniosłam mu wodę do mycia i bieliznę do przebrania. Wrócił - powiedział - bo nie może nas samych zostawić, nie będzie bez nas mógł żyć. Przekonałyśmy go aby uciekał - tu go zabiją. Był zmęczony, chciał się przespać chociaż dwie godziny. Miałyśmy czuć się przed świtem mógł wyjść.

Zmęczeni przeżyciami zasnęliśmy wszyscy. Obudził nas biały dzień. Strach - co robić? Jak wyjść niezauważonym koło zabudowań sąsiada? Ogarnęła nas panika. Ojciec powiedział - co będzie, to będzie. Włożył stare ubranie, kapelusz rondem w dół, który zawsze nosił do góry. Pożegnał nas, wsiadł na rower i szybko przez bramę odjechał w stronę torów kolejki wąskotorowej, odległej o niecały kilometr. Patrzymy przez okno, żeby tylko minął tory. Ledwo straciliśmy go z oczu, a tu wpada Janke z karabinem i słowami „ver fluchte”, on tu był, to na pewno on wyjeżdżał stąd na rowerze! Mówimy, że nikogo nie widziałyśmy, że tu stąd nikt nie wy-

jeźdżał. Sprowadził bojówkarzy. W międzyczasie zatarłyśmy ślady. Znow bicie, popychanie, znieważanie. Brano nas do wykopków do innych Niemców, jak: Kleinebranta, Grossmana. Nasze pole stało nie uprawiane, nasi pracownicy musieli uciekać.

Od ojca nie było wiadomości. Przypuszczaliśmy, że dostał się do Małopolski, do rodziny, że jest bezpieczny. Janke rozgłaszał, że ojciec został zabity koło Krakowa, że przyszło zawiadomienie do gminy. Myślałyśmy, że może to tylko plotka, ale mama nie miała spokoju. Dała mi pieniądze i kazała mi jechać do Małopolski, sprawdzić. Gdzie tu dla mnie Rzym, a gdzie Krym? Jednak wybrałam się w drogę. Dojechałam do Poznania. Pełno uciekinierów. Do Krakowa nie sposób dojechać, gdzieś tam są zerwane mosty. Pociągi były kierowane przez Niemcy, przez dzisiejszy nasz Wrocław. Podróżowałam już 4 dni, byłam u kresu sił, głodna. Zaczynał się listopad, zimno. Spędzali nas do jakiś hal, spaliśmy na podłodze. Dobiegał mój 20-ty rok życia. Chwilami zastanawiałam się czy nie zawracać, bałam się, że nie dojadę, a jednak czułam, że muszę dotrzeć i dowiedzieć się, czy ojciec żyje. Daleko od domu, od celu, bez pieniędzy, bez jedzenia, do tego będąc kobietą, byłam narażona na zaczepki Niemców i przygodnych uciekinierów.

W Krakowie zaopiekowała się mną grupa profesorów, tak wynikało z rozmowy, jadących do Lwowa. Tak dojechałam do Sędziszowa, według mamy, najbliższej stacji kolejowej końca podróży. Była noc, znow Niemcy, kasjer sprzedający bilety i ja. Samiuteńka, przepelniona strachem kobieta, siedząca w kącie brudnej poczekalni. Byłam 20 kilometrów od Kolbuszowej. Ojciec - żyje czy nie żyje? Już tak blisko. Doczekać świtu.

Nadjeżdża chłopska furmanka, maleńki wozik, biedny koń, jeszcze biedniejszy na wozie chłopina. Wiezie czterech Niemców. Podchodzę i pytam czy nie jest z Kolbuszowej. Tak, pada odpowiedź. Błysk radości, prawie u celu. Jedziemy, a właściwie to się wlecemy, zimno. Jesteśmy koło młyna. Zatrzymują nas Niemcy. Do miasta wjechać nie wolno, godzina policyjna. Chłopina skręca w prawo, w polną drogę. Wiezie do swojej chałupy. Jest maleńka, słomą kryta, widzę taką pierwszy raz w życiu z bliska. Przyniósł wiązkę słomy, gościnnie rozpościera na glinianej podłodze. Spałam. Pierwszy raz bezpiecznie.

Świt, nie wiem gdzie jestem, płacze małe dziecko. Pytam o drogę do Świerczowa, dziękuję za gościnę, wychodzę. Obce, nieznanne, choć rodzinne przecież strony. Kościelna wieża, droga do Świerczowa, pytam jak daleko. Idę. Wszędzie widać ślady wojny. W rowie, po lewej stronie, rozbity czołg. Z naprzeciwka, na rowerze, jedzie mężczyzna. Nogi podczas jazdy w kolanach szeroko rozstawione, jak bywało to u ojca. Serce załomotało - on! Roześmiany, potem łzy w oczach. Padliśmy sobie w objęcia. Rower leży na środku szosy. Pyta, czy wszyscy żyją. Zawracamy do Świerczowa. Mnóstwo pytań, odpowiedzi. Teraz tylko spać, spać.

Rano o 5-tej budzi mnie ojciec. Dziecko - wstań, pojedziesz z powrotem,

przecież ich tam zabijają! Niech przyjeżdżają tutaj, ja jechać tam nie mogę, tam zostać - też nie mogę. Jesteś przecież najstarsza. Zawirowało mi w głowie. Jeszcze w uszach szum pociągu, w głowie zamęt. Przespać bezpiecznie choć jedną jeszcze noc.

Na drugi dzień wracam - Kraków, Wrocław, Poznań, Gniezno i dalej. Trwało to 2 dni, już krócej. Po powrocie, nie mogąc nic mówić ze zmęczenia, mama próbuje z mojej twarzy odczytać czy ojciec żyje. Wszyscy uradowani wiadomością. Mama się waha, nie chce jechać. Jak zostawić dorobek 20-tu lat? Może się wnet to skończy, Niemców wypędzą. Mówię, że ojciec przewiduje najgorsze, trzeba uciekać. Zabrałam najmłodszą siostrę - Wandę, trochę *rzeczy* i wyruszyłam znowu z powrotem. Mama została z dwiema siostrami: 18-letnią Marią i 16-letnią Heleną.

Znów 3 dni strasznej podróży, w tłumie z Niemcami, z Żydami.

Ojciec nie był zadowolony. Zabijają je - powiedział. Po tygodniu przyjechała ku wielkiej naszej radości, choć nie pełnej, siostra Helena. Po paru dniach ojciec znów, jak mnie wcześniej, nie dał jej spokoju. Odwiózł ją do stacji Sędziszów, wysłał po mamę i siostrę Marię.

Niestety - już ich nie było. Wywieziono je z całym transportem, w 5-ciu minutach, tak jak stały, pod Warszawę. Takie wiadomości siostra otrzymała w sąsiedniej wsi. Znajomi nie radzili jej pokazywać się, bo nie ujdzie z życiem, Niemcy - mordują. Zamordowali jednego z naszych znajomych - Jana Białasa. Wyprowadzili go na oczach żony i dwojga małych dzieci, kazali wykopać dół, zabili rydlami, żonie kazali zasypać. Tak zginęło wielu, którzy nie zdążyli uciec.

Z takimi wiadomościami wróciła siostra Helena. Ile miałyśmy szczęścia! Ojciec wyjechał na poszukiwanie mamy i siostry Marii. Odnalazł je w Mińsku Mazowieckim, na mrozie, w końskich barakach. Był grudzień, obie przeziębione, nie słyhać było ich głosów, odmrożone nogi. Ale uratowani - wszyscy.

Jest rok 1940. Sześć osób, trzeba z czegoś żyć. Ojciec założył sklep z naczyniami. Jeździł do Krakowa zabierając raz mnie, raz siostrę Helenę. Tam nawiązał kontakt z prof. Ludwikiem Kicem i innymi, którym dostarczał żywność. Tam też wciągnął się do organizacji podziemnej AK, która już działała, wydawała prasę w postaci ulotek i gazetek. Nas nie chciał wtajemniczać w nazwiska, nawet pseudonimy, uważał nas jeszcze za dzieci. Poznałam tam dwie studentki z ul. Topolowej 10, Elżbietę i Wiesławę Mytychówny. Miały rodzinę w Kolbuszowej. Ich ciotka to Florentyna Skowrońska, zamieszkała przy ul. 1 Maja w Kolbuszowej. Od nich to zabierałam paczki z ulotkami i gazetkami. Kiedy ojciec uczestniczył w tajnych zebraniach, spotkaniach, pakowałam je w emaliowany towar, który wieźliśmy do Kolbuszowej. Ze sklepu odbierali je wtajemniczeni znajomi, jak: kierownik szkoły - Stanisław Przybyło, Jan Gorzelany z Kolbuszowej Górnej, późniejszy pracownik Ministerstwa Rolnictwa, i inni. Sama woziłam je do krewnych do Cmolasu na rowerze.

Tak było do maja 1940 roku, kiedy to na skutek donosu Żyda z Kolbuszowej, o nazwisku Liber, mieszkającego wówczas w domu Stolarzowej (koło Policji), został aresztowany ojciec. Liber na skutek nieporozumień handlowych oskarżył ojca do żandarmerii niemieckiej, nie przeczuwając skutków, że ten wozi z Krakowa jakieś ulotki. Z domu zdążyliśmy usunąć wszystko. Ojca wywieźli do Rzeszowa na gestapo. Przeprowadzili szczegółową rewizję, nic jednak nie znaleźli. Było to naszym wielkim szczęściem. Daliśmy znać wszędzie, Tokarzowi w Cmolasie, Gorzelanemu w Kolbuszowej Górnej. Ojcu zawoziliśmy paczki. Chodziliśmy pod „kasztanami”, żeby przez okno zobaczyć ojca. Wtedy było to jeszcze możliwe. Ludzie przechadzali się tam i z powrotem. Raz, rzeczywiście ktoś z góry, z okna, dawał znaki ręką, potem krzyknął: „Stasiu - co słyszeć w domu?” Jak tu na taką odległość coś powiedzieć. Szybko też zniknął w oknie.

Po miesiącu aresztowano mnie, siostrę Helenę, mego męża J. Serafina i Liberę. W Kolbuszowej zaczęła się też seria innych aresztowań. Wieźli nas ciężarowym samochodem, zakrytym, nie wiedzieliśmy gdzie. Przy każdym skręcie zamierałam ze strachu bo myślałam, że wiozą nas w kierunku Sędziszowa i tam pod lasem rozstrzelają. Marzyłam, żeby jechać jak najdłużej. Rozdzielali nas Niemcy uzbrojeni w karabiny. Nie rozmawialiśmy. Jechaliśmy długo. Jakieś zakręty, ruch. Stoimy. Miasto - chyba Rzeszów, gestapo. Niemcy wrzeszczą: „los, los”, spychają z samochodów. Jakieś pokoje pełne gestapowców. Każą odwrócić się twarzami do ściany, podnieść ręce do góry. Już trzech mężczyzn, przeprowadzonych widocznie przed nami, to czyni. Są zakrwawieni.

Opanowała mnie jakaś obojętność a zarazem wstąpiła jakaś siła. Co będzie, to będzie, do niczego się nie przyznam. Dookoła hałaśliwy szwar-got. Naraz głośny krzyk Niemca na człowieka, któremu ręce opadają. Uderza w niego kałamarzem z atramentem.

Wprowadzają nas do piwnic, każdego do innej, mnie z siostrą do jednej razem. Jedna drewniana, goła prycza, zastygła na niej krew. Nic do siebie nie mówimy. Boimy się, może podsłuchują? Jasno świeci żarówka, na ścianach mnóstwo napisów. Czytamy po cichu: „Zegnaj kochana mamusiu -Lusia Kawecka, lat 16, córka krawca z Rzeszowa”. Następny: „Pożegnajcie moją rodzinę - major Bartosik”. Jeszcze inny: „Niech żyje Polska, ginie z mężem za Ojczyznę - Janina Szczepanikowa”. Jedne pisane ołówkiem, inne czerwoną kredką do ust, jeszcze inne wy drapane jakby spinką do włosów. Dużo nazwisk. Ogarnia nas wielki strach, złe myśli przychodzą do głowy - zginiemy.

Brzęk kluczy, otwierają się drzwi, Niemiec wywołuje moje nazwisko, prowadzi do góry, do tego samego pokoju. Jest pusty, jeden tylko Niemiec w mundurze i ta plama na podłodze po atramencie. Niemiec niewysoki, drobny, o nazwisku Kochmann, jak się później okazało, ze Śląska. Na stole karabin, pistolet, pejcz, jakieś metalowe pierścienie i nie wiadomo co. Mówił po polsku. Moje personalia, pytania, jakie to ja gazetki woziałam z Krakowa

do Kolbuszowej. Do niczego nie przyznaję się, o niczym nie wiem. On mówi, że ojciec się przyznał, tylko chce potwierdzenia ode mnie. Jak błyskawica przyszła mi myśl do głowy, że to podstęp. Nie wiem o niczym -mówię. Niemiec pokazuje na to, co leży na stole i mówi, że jeżeli się nie przyznam, to co tu leży na stole, będzie za mnie mówiło. Po chwili złapał mnie za ramię, rzucił pod ścianę. Podniosłam się, znów wydawało mi się, że mam ogromną siłę, że się już nie boję. Bałam się, żeby tylko tego nie zauważył. Zaczęłam płakać, że już tyle tu przeszłam, wysiedlona, niczym się nie zajmuję, jestem w ciąży.

Zadzwoił, przyszedł inny Niemiec, kazał mu mnie wyprowadzić, powiedział, że jak posiedzę, to się przyznam. Wezwali siostrę, pytali o to samo. Potem odwieźli nas do więzienia.

Więzienie - brama obita żelazem, na bramie kaleczący po polsku Kuczera. Pęki kluczy, polscy strażnicy, najwyższe piętro - oddział kobiecy. Każda z nas w innej celi. W mojej 14 osób, kobiety różne. Nic nie mówię. Słyszę jak rozmawiają między sobą, z czego wynika, że żadna nie wie za co siedzi.

Upływa 3 dni. Nie podchodzę po jedzenie - słabo mi. Rano cienki krochmal zasypany kminkiem, tzw. kminkówka, ćwiartka małego ciemnego chleba, lepiałego się, z łubinu podobno. Wywołują jakieś nazwiska na przesłuchanie, wychodzą dwie wylęknione kobiety, „może nie wrócimy” mówią.

Obiad - jakaś gęściejsza zupa, same kawałki brukwi, żeby chociaż jeden ziemniak.

W prawym rogu, blachą obite uwypuklenie, to „kibel”. Powietrze ciężkie, takie będzie do rana, rano dopiero będzie opróżniony.

Przychodzą te z przesłuchania. Rozwichrzone włosy, pokrwawione, jedna trzyma się za oko. Współczujemy im.

Wieczór - czarna kawa i reszta rannego chleba, bardzo mało. Ciemno, śpimy, nie zawsze można zasnąć - coś gryzie. Śpimy po dwie. Jedna w głowach, druga w nogach - jak to się mówiło.

Co dzień wywoływania, co dzień ze śladami bicia powroty, co dzień takie samo jedzenie. W niedzielę tylko pływają kawałki koniny, a tak zjadło by się całego, sypkiego, gorącego ziemniaka.

Ogarnia mnie rozpacz - załamuję się, płaczę, wołam mamę, ojca, nie wytrzymam! A jeżeli przeżyję - to jakie będzie moje pierwsze dziecko, którego początki istnienia kształtują się tu, w więzieniu, pod naporem ciężkich przeżyć i załamań psychicznych? Uspakają mnie, że trzeba być silnym - przeżyć. Jak wytrzymać? Obok siostra, na dole ojciec, mąż.

Otwierają się drzwi, w nich strażniczka - oddziałowa, ostro wywołuje moje nazwisko. Znajoma twarz z Kolbuszowej Dolnej. To p. Weronika Rolanka (obecnie Skolimowska). Przeraził mnie jej ostry ton, głos. Woła nie do tzw. „windy”. Ścisza głos, który jest nie ten sam, miły nawet. Mówi, że przyniosła karteczkę (gryps) od ojca, że mam go szybko przeczytać i zaraz przy niej zniszczyć. Czytam: „Dzieci - nie przyznajcie się do

niczego. Ja nic nie powiedziałem, nie wiem co mnie czeka, ale żebyście choć wy się uratowały. Nie wyjawiałem żadnego nazwiska, ani z Kolbuszowej, ani z Krakowa. Leżę, jestem bardzo zbity. Jutro znów idę na przesłuchanie. Urwałem kawał koca, owinę się nim, żeby wytrzymać. Dałem znać do celi, w której siedzi Liber, aby powiedział, że ze złości mnie oskarżył, bo odsunąłem go od spółki handlowej, żeby mu powiedzieli, niech wszystko wycofa, bo i tak czeka go to samo co nas. Niech powie, że ze złości to wszystko wymyślił. Zobaczymy co będzie, całuję Was - ojciec".

Cieszę się, jest tak jak wyczułam. Gestapowiec podpuszczał mnie, że ojciec przyznał się.

Był początek 1940 roku, wszystko było możliwe. Być może uda się zmylić Niemców. Siedzimy bez przesłuchania już miesiąc.

Kolejny gryps od ojca: „Zbili mnie strasznie, już mnie wlekli do samochodu, z tyłu doleciał Niemiec i kopnął mnie z całej siły, mam złamaną kość ogonową. Stasiu - przyjdź jutro do lekarza" (ambulatorium znajdowało się na naszym piętrze).

Zgłaszam pójście do lekarza (nazywał się Gnatowski), pomagał mu lekarz - więzień Węglowski, mąż p. dr Węglowskiej - rentgenologa w Rzeszowie. Wycho-dzę na korytarz, gdzie stoi ojciec, podtrzymywany przez więźniów. Wychudzony, uśmiechnął się na mój widok. Witamy się, strażnicy udają, że nic nie widzą. Ojciec opowiada, że w sąsiedniej celi więźniowie bardzo zbili Liberę, i że ten przyrzekł, że wszystko odwoła, bo widzi co zrobił. Ojciec mówi: „patrz ilu tu ludzi, nie my jedni". Tymczasem ludzie wchodzą i wychodzą od lekarza. Kolej na ojca, ja wracam do celi.

Dalej nas nie przesłuchują, wszystko skupia się wokół ojca i Libery. Liberę też biją.

Kolejny gryps. Ojciec po powrocie z przesłuchania miał atak serca, odratowali go, jest już lepiej.

Spoglądamy przez okno. Więźniowie na spacerze. Chodzą w koło, jeden za drugim, ojca nie ma. Jest mąż. Wysoki, przystojny brunet - to syn lek. Krzyżanowskiej, okulisty z Rzeszowa - słyszę.

W nocy ruch na korytarzach, jak zwykle wprowadzają, wyprowadzają więźniów. Otwierają się nasze drzwi. Światło - wchodzi ubrana w czerni, na głowie kapelusz z woalką, młoda, może 25-letnia kobieta. To podobno Maria Liwo, córka adwokata z Rzeszowa, aresztowana z grupą młodych ludzi. Żałoba - po zamordowanym przez Niemców ojcu - tak opowiada. Płacze. Siedzi do rana na wysokiej ławce. Rano ją wywieźli.

Ciągle płacząc, martwię się, kiedy inne próbują żartować chwilami. Co z nami będzie? Z sąsiedniej celi, od czasu do czasu, puka siostra, żeby przerwać moje rozmyślenia, nie płakać.

Pewnego dnia wywołują moje nazwisko. Strażniczka wywołuje jeszcze kilka z nas, z innych cel czekają już na korytarzu. Jest siostra, idziemy razem, rozmawiamy. Idziemy do ogrodu zbierać jarzyny. Radość! Powietrze! Świat! W drodze powrotnej przemycamy trochę cebuli, marchwi. Tak jest przez kilka dni.



Zgubiłam się w nazwiskach, w liczeniu dni. Ciągłe kogoś wywożą, podobno do jakiegoś obozu, który nazywa się Oświęcim. Z mojej celi zabrali Bartosikową, chorą na serce, żonę wcześniej wywiezionego majora. My dalej siedzimy, przeżywamy każdy wywóz. Nadsluchuję, czy nie padnie moje nazwisko i tak płynie dzień za dniem.

Znów noc, ruch na korytarzu jak zwykle, brzęk łańcuchów, ujadanie psów, znów wywożą. Z celi obok, gdzie siedzi siostra, wywołują Janinę Szczepanikową, wywołują innych. Trzaskają drzwi i nie zamknięte na noc okna na korytarzach. Wichura, leje deszcz, burza, błyskawice. Na kilka godzin przed burzą, opowiadała siostra, obudziła się Szczepanikową i mówiła, że teraz wierzy, że pójdzie na śmierć, bo śniło się jej, że spała z mężem na słomie, a słoma - to śmierć. „Za oknami deszcz - to świat za nami płacze” - mówiła. Umyła się, starannie uczesała, „przecież ginę za Polskę” - mówiła. Na dole wprowadzają mężczyzn do samochodów, jest tam też jej mąż - porucznik Szczepanik. Wywieźli wszystkich na Lisią Górę koło Rzeszowa i tam ich rozstrzelali.

W połowie września otwierają się drzwi, strażnik wywołuje moje nazwisko, z sąsiedniej celi siostrę. Schodzimy na dół. Jest już mój mąż. Witamy się wzrokiem. Strażnik mówi, że jesteśmy zwolnieni, ojciec i Liber zostają. Nie chce się nam wierzyć. Otwiera się brama - czy to możliwe? Jednak tak, wychodzimy. Idziemy, nie oglądamy się za siebie, ale tam został przecież ojciec. Co z nim będzie? Co z nim zrobią? Po co go zostawili? Idziemy pieszo do Głogowa, potem siadamy na przygodną furmankę.

Kolbuszowa. Dom. Wchodzimy, mama właśnie odcedza ziemniaki, sypkie, gorące. Przychodzi do głowy myśl - już nic więcej nie chcę jeść do śmierci, tylko całe, gorące ziemniaki.

Jest wrzesień 1940 rok. Druga zbezczeszczona przez Niemców polska złota jesień. Gdyby to było choć pół roku później, nie oglądalibyśmy ani jesieni, ani świata. Martwimy się nadal co zrobią z ojcem. Liber odwołał pomówienie, dlaczego więc ojca nie wypuścili?

Jest listopad. Godzina 7 wieczorem. Otwierają się drzwi a w nich staje jak widmo - ojciec. Za nim Liber, wstydzi się, ucieka. Ojciec wycieńczony, na ciele siniaki, krwiaki. Rozbiera się, wyciąga koc, sztywny od krwi. Płacze. Nie myślał, że nas zobaczy. Kładzie się na łóżku. Ojciec, nigdy nie pijący alkoholu, zawołał - wódki. Pobiełam do restauracji, po drugiej stronie rynku, będącej własnością Ludwika Winiarskiego. Wódka jest, ale tylko dla Niemców. Proszę i dostaję kwaterkę. Ojciec z butelki wypija połowę i zasypia głębokim snem.

Budzi się rano i pyta kogo jeszcze w Kolbuszowej aresztowali. Mówi, że gdy go wypuszczali, kazali podpisać, że wskaże miejsce pobytu synów kierownika szkoły - Stanisława i Andrzeja Przybyłów. Trzeba dać znać ich ojcu, żeby się nie pokazywali w Kolbuszowej, bo możemy być obserwowani. Tak też zrobiliśmy. Ja poszłam do żony kierownika szkoły - Przybyłowej i opowiedziałam wszystko w tajemnicy.

Co dwa tygodnie ojciec miał się zgłaszać na gestapo, dopóki nie poda miejsca pobytu Przybyłów. Pojechał, powiedział, że się jeszcze nie dowiedział. Po dwóch tygodniach - to samo. Byli wściekli. Za czwartym razem zamknęli ojca i trzymali przez 3 godziny. Myślał, że to już koniec. Był chory. Wypuścili go jednak. Wyszedł zmaltretowany, zbity. Nie wiedział co zrobić. Uciekać? Złapią i wykończą wszystkich.

Wpadł na pomysł prosty i nie najmądrzejszy. Udał, że mu się pomieszało w głowie. Napisał list, że jest chory a o Przybyłach dowiedział się, że wyjechali do Rosji - „o czym z uciechą donosi”.

Czekamy co będzie. Jeden dzień, drugi, trzeci, cisza. I tak zostało, byliśmy uratowani. Ojciec chory, ma stargane nerwy. W mieszkaniu nie może nic stuknąć. Wydaje mu się, że idą po niego.

W Krakowie zginęła z grupą studentów „Lusia” - Elżbieta Mytychówna, studentka III roku prawa, młoda i piękna dziewczyna. I wiele, wiele innych. My mieliśmy tyle szczęścia.

Mama skrwawiony koc trzyma na pamiątkę. Nie da się jednak patrzeć na niego - wszystko się przypomina. Palimy go w piecu, żeby razem z nim dało się spalić te straszne wspomnienia. Ale nie - tego się nie da zapomnieć!

Wyzwolenie - wielka radość. Koniec wojny. Koniec z Niemcami. Czy to tylko prawda?, bo nie chce się wierzyć, tak jak w powrót z więzienia.

Wolność - otwarte szkoły, wokół radosny hałas naszych dzieci. Moje najstarsze dziecko, córka Halina, o które tak bardzo martwiłam się w więzieniu, jest dziś prawnikiem - sędzią. Prawnikiem - prokuratorem jest również jej mąż. To dzięki Polsce, o którą walczyliśmy przed laty.

*Synowi Tadzikowi - Matka Kolbuszowa, w  
marcu 1975 roku*



*Mąż autorki, Józef. Rok 1943.*



*Stanisława Serafin wraz z ojcem Stanisławem Stelmachem i siostrą Heleną Koziół w r. 1943. (w trzy lata po wyjściu z więzienia).*



*Autorka z siostrą Heleną na ul. Mickiewicza w Kolbuszowej. Rok 1943.*